



„A ja swoje wiedziałam”

• Rozmowa z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ, aktorką, która wystąpiła w słupskim teatrze w kabaletowym przedstawieniu, z własnymi tekstami.

— Patrząc na panią nie mogę powstrzymać się przed bardzo „babskim” pytaniem — jak z pulchnej blondynki stała się pani filigranową szczupłą szatynką? Czyżby dieta-cud?

— Nie, żadnych diet, cudownych środków. Ja sobie tak postanowiłam i to dosyć dawno, tylko mój pierwszy wizerunek tak się utrwalił, że wszyscy jeszcze taką pulchną mnie pamiętają...

— Telewizja, przypominając pani pierwsze filmy i spektakle, też się do tego przyczyniła...

trzeba mieć siłę mężczyzny, podejmować męskie decyzje, często w sytuacjach upokarzających powstrzymać się od łez. Ale ja mimo wszystko uważam, że jest to zawód bardzo kobiecy. Naturalnie to przebieganie się też ma znaczenie — każda kobieta marzy, żeby się zmieniać od rana do wieczora. Z tym że to wszystko połączone jest z ogromną mobilizacją.

— I ciężką pracą...

— O tym nie będziemy mówić, bo publiczność nie powinna tego wiedzieć, powinna myśleć, że nam to łat-

— Kamery telewizyjne nie w ogóle powiększają i pogrubiają. Ale ja postanowiłam schudnąć nie z kokieterii. Po prostu w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że moje warunki fizyczne mnie ograniczają. Nie mogłabym chyba zagrać lady Makbet czy innych dużych ról z takim „potulnym” wyglądem. Zresztą ta jasna blondynka, jaką wtedy byłam, to też nie była cała prawda o mnie...

— Bo czyż można coś pewnego i raz na zawsze powiedzieć o kobiecie?

— Oczywiście, że nie. Na szczęście, nie. To tajemnica.

— Ale proszę spróbować...

— To za trudne i za łatwe pytanie. O kobiecie, jak o miłości, może nie należy dużo mówić, może lepiej patrzeć.

— I kochać...

— Kochać też, ale nie z obowiązku, miłości nie można wynegocjować.

— A skoro mowa o kobiecie, to leruje pani Dzień Kobiet?

— Nie bardzo, wołałabym, żeby to było nieustające święto. Nie lubię też „oper miesiąca”, bo to tak jakby Tosca w marcu była dobra, a w kwietniu już nie. I w ogóle dni tego, tamtego...

— Tak się jednak złożyło, że pani też ma w kalendarzu swój dzień — 4 czerwca 1989 roku ogłosiła pani koniec komunizmu w Polsce. I jak za kilkadziesiąt lat będą upraszczać nasze dzieje, to wyjdzie, że piękna Helena wywołała wojnę trojańską, a Joanna Szczepkowska obaliła komunę...

— Ja tylko powiedziałam to, co sama chciałam usłyszeć. Tyle lat myśleliśmy, że „to” się nie skończy... Przeszliśmy do tej rzeczywistości jakos szaro i smutno, a ja chciałam usłyszeć coś radosnego i w dzienniku telewizyjnym skorzystałam z okazji, powiedziałam sama...

— Do dzisiaj wytykają to pani w różnych gazetach...

— Wie pani, ja nie wszystkie gazety czytam... Za to już następnego dnia po tym dzienniku miałam kwiatami w domu. Dziękowali przede wszystkim ludzie starsi, dla nich to zdanie było naprawdę bardzo ważne. Okazało się, że to był prezent dla starszego pokolenia i cieszę się, że tak się stało. Do dzisiaj mam dowody przyjaźni od tych ludzi, przysyłają mi kwiaty, korespondują z nimi.

— Politykę też nadal się pani interesuje?

— Tak jak większość ludzi. Ciągłe boli mnie to, co złe, cieszy co dobre, ale nie należę do żadnej partii, stowarzyszenia, chociaż są takie, z którymi sympatyzuję...

— Wracając do kobiety. Większość z nas patrząc na aktorki myśli — takim to dobrze, te cluchy, przemiany, wcielanie się w różne postaci... To wymarzony zawód dla kobiety...

— W naszym środowisku twierdzi się, że jest to zawód męski, bo

wo przychodzi — jesteśmy po to, żeby sprawiać przyjemność, a nie obciążać własnymi kłopotami.

— A nie szkoda pani czasem, że w Polsce nie ma gwiazd typu hollywoodzkiego?

— Tam już chyba też nie ma takiego „bajkowego” stylu... Nie, ja myślę, że gwiazdy też pracują, a nie kapią się w oslim mleku.

— Czy zawód aktorki jest twórczy, czy odtwórczy? Spotkałam się z opiniami, że w naturze kobiety leżą zdolności odtwórcze, podczas gdy mężczyźni tworzą...

— Moim zdaniem jest to zawód twórczy i to w pełnym tego słowa znaczeniu. Rolę tworzy się miesiącami, nie śpi się po nocach, coś wychodzi, coś nie...

— Różne są metody pracy, na przykład Dustin Hoffmann mając zagrać degenerata, kilka dni nie jadł, nie mył się, pił alkohol i palił papierosy. Jak jest w pani przypadku?

— Zupełnie inaczej. Gdybym miała grać osobę niewidomą, na pewno nie wydfubalabym sobie przedtem oczu ani nie chodziłabym z czarną przepaską na oczach. Aktorstwo jednak polega na wyobraźni i nie sędzę, że własne doświadczenia mogą się tu przydać. Ale ktoś może myśleć inaczej i mieć świetne rezultaty.

— Role pani marzeń?

— Mam je za sobą. Lady Makbet, Katarzyna w „Poskromieniu złoŹnicy”, szekspirowska Julia, Diana w „Fantazym”. Chciałabym chyba zagrać coś, czego jeszcze nie ma.

— Rola matki w życiu?

— Mam dwie córki — piętnasto- oraz dwunastoletnią. Kiedy były małe mówiłam, że dzieci i sztuka wspaniale się uzupełniają, bo córki dają poczucie wolności od teatru, poszerzają mój świat. Dzisiaj — jak to się mówi — większe dzieci, większe kłopoty. Wymagają ode mnie więcej uwagi, obecności fizycznej i duchowej, a to już jest trudniejsze do pogodzenia z „innym życiem”. One zresztą twierdzą, że nie będą aktorkami, a ja myślę, że jedna z nich będzie.

— Pani — córka znanego aktora — też pewnie zapierała się, że nie pójdzie w ślady ojca...

— Ja zawsze mówiłam, że będę aktorką, chociaż wszyscy twierdzili, że nie.

— A o cóż to tym wszystkim chodziło?

— O moją wielką nieśmiałość. Nie lubiłam się pokazywać, mówić wierszy, zamykałam się swoim pokojem i żyłam w swoim świecie. Pamiętam, że nawet fotograf, który robił mi zdjęcie do formularza do szkoły aktorskiej mówił: „ty się nie nadajesz, widzę, jak reagujesz na zwykły aparat fotograficzny”. A ja swoje wiedziałam...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

ANNA CZERNY-MARECKA
Fot. Sławomir Żabicki